

Lech Kańtoch

Kilka dni temu otrzymałem apel z USA. By włączyć się w kampanię wyborczą w stanie Ohio i zadzwonić do, co najmniej 10 znajomych i wezwać ich do udziału w wyborach i głosownia na Baracka Obamę. Nie byłem tym zdziwiony, bo od wielu lat jestem na liście mailowej AFL – CIO, więc i tym razem ten mail nie był zaskoczeniem. Ale obecnie mówi to o potrzebie pełnej mobilizacji w szeregach Demokratów i dramatycznym etapie kampanii wyborczej. Zwiększa ją huragan Sandy, który nazwano z uwagi na monstrualne rozmiary „Frankenstorm”.

Kilka „wahających się” stanów

Amerykańskie wybory śledzę od dawna. Mają one swoją dramaturgię, nigdy nie było też podobnych. Choć obok prezydenta USA, wybiera się część senatorów i gubernatorów, całą Izbę Reprezentantów, legislatury stanowe i municypalne, urzędników różnych szczebli. Dopiero spojrzenie na całokształt pokazuje, z jakim zjawiskiem mamy do czynienia. Ponadto organizuje się też różne referenda dotyczące spraw istotnych dla lokalnych społeczności: w Los Angeles na temat użycia prezerwatyw przez aktorów porno, w stanie Kalifornia o specjalnym metkowaniu żywności zmodyfikowanej, w czterech stanach (Idaho, Kentucky, Nebraska, Wyoming) o konstytucyjnym prawie do polowań, itd.

Najważniejszy jest wybór prezydenta USA i o to toczy się główny spór. W tym roku o wyniku mogą zdecydować wyborcy kilku – a może jednego – stanu. Jest nim Ohio – a nawet kilka hrabstw stanu kasztana –zdecyduje o tym, kto będzie – Mitt Romney czy Barack Obama – prezydentem. O ile Baracka Obamę nie powali „Frankenstorm”.

W ostatniej fazie kampanii wyborczej wszystko jest już niemal znane. Poprawa sytuacji gospodarczej i spadek bezrobocia. Programy rywali, ich wyniki w debatach telewizyjnych, szacunkowe dane, kto może zwyciężyć. Ale ostateczny rezultat będzie znany dopiero po zamknięciu lokali wyborczych na Alasce i Hawajach. W noc wyborczą z 6/7 listopada 2012 r.

Istota sporu

Nie da się ukryć, że nie jestem neutralnym obserwatorem tych wyborów. Gdybym był obywatelem USA z pewnością głosowałbym na Demokratów. To oni mają bardziej społeczne podejście, są bardziej postępowi i wspierają od lat związki zawodowe. Republikanie to zazwyczaj ludzie bogaci i wielki kapitał, zwolennicy obniżek podatkowych dla najbogatszych. Kandydat na wiceprezydenta Paul Ryan to zagorzały katolik, którego własny Kościół skrytykował za zdradę ludzi uboższych i bezbronnych. Jego program „Ścieżka dobrobytu” preferuje redukcję deficytu poprzez cięcia wydatków i podtrzymanie obniżek podatkowych dla osób najbogatszych. Opracował też program „naprawy” Social Security, dzięki któremu kiedyś kończył studia, był tak radykalny, że prezydent George W. Bush wzdragał się przed jego przyjęciem.

Dziennikarz Steven Greenhouse z „New York Times” nie ukrywa, że platforma polityczna

republikanów to „wezwanie do podjęcia szeregu kroków mających na celu znaczne osłabienie amerykańskich związków zawodowych”.

Przyjrzyjmy się więc jak wyglądają różnice programowe w kilku kluczowych kwestiach.

Stosunki pracy

Demokraci uznają za fundamentalną zasadę prawo pracowników do organizowania się w związki zawodowe i zawieranie układów zbiorowych. Każdy Amerykanin powinien mieć prawo do wysuwania swych oczekiwań odnośnie pracy i płacy. Protestują przeciwko postawie republikanów wzywających do likwidacji związków zawodowych.

Z kolei republikanie formują tzw. „prawo do pracy”, które oznacza większą swobodę pracodawców w zatrudnianiu pracowników, za niższe uposażenie. Odrzucają negocjacje i zawieranie układów zbiorowych. Oskarżają związki zawodowe, że są odpowiedzialne za kryzys finansowy amerykańskich stanów. Popierają tych gubernatorów, którzy zwalczają związki zawodowe.

Podatki

Sprawy podatków wywołały burzę po wypowiedzi republikańskiego kandydata Mitta Romneya, że 47 procent Amerykanów to nieudacznicy, którzy nie płacą podatków, są uzależnieni od rządu, a średnie zarobki w USA wynoszą 250 tysięcy dolarów. Są to totalne bzdury, bo podatki płacą wszyscy zatrudnieni, czego raczej nie robią szefowie korporacji. Zarobki klasy średniej kształtują się na poziomie 20 tysięcy dolarów.

Prezydent Obama chce obniżyć podatki ludziom zarabiającym poniżej poziomu 250 tysięcy dolarów rocznie, wzywa najbogatszych i korporacje by „płaciły uczciwą kwotę podatków”. Republikanie opowiadają się za utrzymaniem ulg podatkowych wprowadzonych jeszcze za czasów George’a W. Busha, które według powszechnej opinii są przyczyną niesłychanie szybkiego deficytu budżetowego. Sytuacji, gdzie sekretarka płaci większy podatek niż jej szef – milioner.

Ochrona zdrowia i ubezpieczenia społeczne

Demokraci protestują przeciwko planom Mitta Romneya by dawać ludziom starszym „vouchery” albo kupony. Uważają to za formę likwidacji systemu ubezpieczeń uchwalonego z inicjatywy demokratów i osobiście prezydenta Obamy. Są przeciwni wszelkim próbom prywatyzacji Medicare. Uważają ten system za wielką zdobycz socjalną uboższych Amerykanów. Republikanie cynicznie wzywają „do modernizacji” Medicare, usiłują doprowadzić do zastępowania systemu Medicare wręczaniem „voucherów” ludziom poniżej 55 roku życia. One się szybko dewaluują, co prowadzi do niepotrzebnego zwiększenia wydatków podczas choroby.

Zabezpieczenia społeczne

Demokraci poszukują sposobu by powstrzymać republikanów przed likwidacją ubezpieczeń społecznych, które są bardziej ograniczone niż w Europie. Nie mniej w niektórych branżach – na przykład w przemyśle samochodowym – są one dość znaczne poprzez obowiązkowe wpłaty. Ich zniesienia domagają się republikanie.

Demokraci opowiadają się za utrzymaniem dotychczasowych funduszy emerytalnych, a nie poddania ich wahaniom giełdowym – jak tego chcą republikanie – po ich sprywatyzowaniu, czy też traktowania ich jako rodzaj „dodatku” do funduszy ubezpieczeniowych.

Te kilka elementów pokazuje dobrze czyje interesy reprezentują demokraci a czyje republikanie. Dość łatwo jest zauważyć, co jest korzystne dla 1 procenta najbogatszych.

Kto wygra ?

Wybory amerykańskie odbywają się w kraju kapitalistycznym, który budowano od podstaw, a nie jak w Europie – używając słów Marksa – w „zastanych warunkach”. Stąd też USA to najbardziej liberalny kraj świata, przynajmniej się za taki go uważają. Ale linie podziału politycznego są dość widoczne i od

dawna zarysowane: Demokraci przeciwko Republikanom.

A więc szerokie rzesze społeczeństwa przeciwko bogatym i superbogatym. Jeśli Mitt Romney wygra straci na tym klasa średnia. Bo zwycięzcami będą pazerni pracodawcy i neoliberalni politycy. Rozbite mogą zostać reformy Baracka Obamy z jego reformą ubezpieczeń zdrowotnych – Medicare.

Oznaczać to będzie triumf banków z Wall Street, które doprowadzając do światowego kryzysu zarobiły na nim krocie, stracili drobni udziałowcy i ciułacze. Ci ostatni musieli do ich ratowania – poprzez podatki – ratować giganty zbyt duże „by upaść”. Lapidarnie ujęto to: zyski są sprawą prywatną (bogaty), za straty płaci społeczeństwo.

Do prezydenta Baracka Obamy można mieć pretensje, że nie był zbyt konsekwentny i nie przeprowadził reformy systemu finansów USA.

Jest jednak bardziej wrażliwy społecznie niż jego rywal, Mitt Romney, który dorobił się na kupowaniu przedsiębiorstw, ich restrukturyzacji (czyli redukcji liczby zatrudnionych) a później zyskowej sprzedaży. Mitt Romney, który jest „wart” około 350 milionów dolarów był przeciwny wsparciu Detroit – centrum amerykańskiego przemysłu samochodowego

Co oznacza równowaga

Jednak sondaże wskazują na bardzo realną możliwość, że Romney zbierze więcej głosów bezpośrednich w całym kraju, a mimo to przegra wybory, ponieważ nie zdobędzie większości w wystarczającej liczbie stanów. W „wahających się” stanach (tzw. „swings states”) wskazują, że matematyka wyborcza nadal przemawia na korzyść obecnego prezydenta. W amerykańskim systemie wyborczym kandydat, który zdobywa większość głosów bezpośrednich w danym stanie niemal zawsze dostaje wszystkie głosy elektorskie, nawet jeśli wygrał w tym stanie większością jednego głosu.

Według najnowszych szacunków prezydent Obama może otrzymać 291, a Romney 247 głosów elektorskich. Trzeba wygrać w poszczególnych stanach, by wygrać wybory, a teraz wydaje się bardzo realne, że Romney zbierze więcej głosów bezpośrednich, ale mniej elektorskich – powiedział prof. John Aldrich, politolog z Duke University. Po raz ostatni zdarzyło się tak w 2000 r., gdy Al Gore otrzymał o 500 tys. więcej głosów bezpośrednich w całym kraju niż George W. Bush, ale przegrał o jeden głos elektorski. Nie bez znaczenia może mieć przebieg huraganu „Frankenstorm”, który demoluje wschodnie wybrzeże USA.

Kilka uwag

O wyniku wyborów w USA zadecydują obywatele Stanów Zjednoczonych. My możemy się tylko temu przyglądać. Nie jest jednak obojętne – przynajmniej dla ludzi lewicy – kto zasiądzie w Białym Domu w przyszłym roku: Barack Obama czy Mitt Romney. Pierwszego można nazwać socjalliberałem, drugi to neoliberal z szkoły Ronalda Reagana i Margaret Thatcher. „Przyjaciół” byłego związkowca Lecha Wałęsy.

Stosunek obu kandydatów do Białego Domu do Europy czy Unii Europejskiej jest dość powściągliwy. By powiedzieć, że niezbyt ich ona – w tym Polska – interesuje. USA mają gdzieś indziej – w Azji i regionie Pacyfiku – swoje interesy. Nie mniej bardziej ważne jest ogólne podejście do spraw politycznych, gospodarczych, a zwłaszcza społecznych. A tutaj są widoczne zasadnicze różnice.

Lech Kańtoch